

Pani de La Carlière



DENIS DIDEROT

TO NIE BAJKA...

Pani de La Carlière

CZYLI O NIEKONSEKWENCJI SĄDÓW PUBLICZNYCH O NASZYCH PRYWATNYCH UCZYNKACH¹

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

— Wracamy?

— Wcześniej jeszcze.

— Widzisz te chmury?

— Nie obawiaj się; rozpierzchną się same, nawet bez śladu wiatru.

— Tak sądzisz?

— Często obserwowałem to zjawisko w lecie, w upał. Niższa część atmosfery, wskutek opadów wodnych pozbawiona wilgoci, wchłonie część gęstej pary tworzącej ciemną oponę², która zasłania ci niebo. Masa tej pary rozłoży się mniej więcej równomiernie w całej masie powietrza; dzięki temu dokładnemu rozmieszczeniu lub kombinacji — jak ci się podoba nazwać — atmosfera stanie się jasna i przezroczysta. Jest to niby laboratoryjne doświadczenie, odbywające się nad naszymi głowami. Za kilka godzin lazur zacznie przebiegać przez rozrzedzone chmury; chmury staną się coraz rzadsze; lazurowe okna coraz liczniejsze i obszerniejsze; niebawem ani będziesz wiedział, co się stało z czarnym welonem, który cię przerażał, oraz zdumiejesz się i uradujesz przejrzystością powietrza, czystością nieba i urodą dnia.

Niebo

— Ależ prawda! Gdy ty mówiłeś, patrzałem na niebo i zjawisko to zdawało się spełniać twoje rozkazy.

— Jest po prostu związane z ilością wody rozpuszczonej w powietrzu.

— Tak jak para, która ściąga powierzchnię szklanki, skoro napełnimy ją mrożoną wodą, jest jedynie rodzajem strątu³.

— A te olbrzymie balony, pływające lub wiszące w atmosferze, są jedynie nadmiarem wody, której nasycone powietrze nie może rozpuścić.

— Tkwią w niej jak kawałki cukru na dnie filiżanki kawy, która nie może ich już więcej wchłonąć.

— Bardzo słusznie.

— I przyrzekasz mi za powrotem⁴...

— Skłębienie usiane gwiazdami, najpiękniejsze, jakie być może.

— Skoro tedy mamy dalej zażywać przechadzki, czy mógłbyś mi powiedzieć — wszak ty znasz wszystkich, którzy tu bywają — kto jest ten wysoki, szczupły, melancholiczny jegomość, który nie odezwał się ani słowa i którego, skoro towarzystwo się rozproszyło, zostawiono samego w salonie.

— To człowiek, którego boleść przejmuję mnie szczerym szacunkiem.

— A zowie się?

— Kawaler Desroches.

¹*Pani de La Carlière* — utwór ten, skreślony w r. 1772, bardzo głośny swojego czasu, stanowi, podobnie jak *To nie bajka...*, udratyzowane opowiadanie z prawdziwego zdarzenia i również krążył długo jedynie w rękopiśmiennych kopiach. W druku ukazał się w r. 1798. [przypis tłumacza]

²*opona* (daw.) — zasłona; okrycie, powłoka. [przypis edytorski]

³*strąk* (chem.) — osad; nierozpuszczalna substancja, strącana podczas procesu chemicznego. [przypis edytorski]

⁴*za powrotem* (daw.) — po powrocie. [przypis edytorski]

— Ten Desroches, który po śmierci skąpego ojca, stawszy się właścicielem olbrzymiej fortuny, zasłynął przez swą rozrzutność, swoje miłostki i niespokojne życie?

— Ten sam.

— Wariat, który przechodził wszelakie przeobrażenia, którego widziano kolejno w sutannie, w sędziowskiej todze i w uniformie?

— Tak, ten wariat.

— Jakże się zmienił.

— Życie jego jest pasmem osobliwych wydarzeń. To jedna z najnieszcześniejszych ofiar kaprysów losu i nieopatrznych sądów ludzi. Skoro opuścił Kościół dla trybunału, rodzina podniosła krzyki oburzenia; głupia zaś publiczność, która nieodbicie⁵ staje po stronie ojców przeciw dzieciom, zaczęła nań ujadać jednogłośnie.

— A cóż dopiero za gwałt, kiedy się wycofał z trybunału, aby wstąpić do wojska!

— A w gruncie cóż on popełnił? Dzielny czyn, którym szczycilibyśmy się obaj, a który ściągnął nań reputację skończonego szaleńca; i potem dziwisz się, że obłudne paplarstwo ludzkie nudzi mnie, niecierpliwi, drażni.

— Dalibóg, wyznaję, iż sądziłem Desroches'a jak cały świat.

— I oto w jaki sposób, z ust do ust, przez to, iż jedni stają się bezmyślnym echem drugich, podaje się dzielnego człowieka za durnia, rozumnego za głupca, zacnego za hultaja, odważnego za wariata i na odwrót. Nie, te niedorzeczne paple nie warte są, aby kierując swoim życiem, liczyć za cośkolwiek ich pochwałę lub naganę. Posłuchaj, do kroćset, i spal się ze wstydu.

Desroches został bardzo młodo rajcą⁶ parlamentu⁷; pomyślne okoliczności zaprowadziły go szybko do Wielkiej Izby; z kolei przeszedł do sądu kryminalnego, gdzie poruczono mu raport w doniosłej sprawie. Na podstawie jego wniosków skazano złochnicę na najsroższą karę. W dzień egzekucji zwyczaj nakazuje urzędnikowi, który był sprężyną wyroku, udać się do ratusza, iżby tam przyjął ostatnie rozporządzenie nieszczęśliwych, jeżeli tego sobie życzą, jak w tym wypadku. Było to w zimie. Desroches i jego kolega grzali się koło ognia, kiedy oznajmiono przybycie pacjenta. Człowieka tego, któremu tortura pogruchoła wszystkie kości, niesiono na materacu. Znalazłszy się w obliczu sędziego, podnosi się, obraca oczy ku niebu i woła:

— Wielki Boże! Sprawiedliwe sądy twoje!

Złożono go na materacu u stóp Desroches'a.

— I to pan mnie skazałeś! — rzekł silnym głosem, zwracając się doń. — Jestem winien zbrodni, o którą mnie oskarżają; tak, jestem winien, wyznaję. Ale pan nic o tym nie wiesz.

Następnie, przechodząc całe śledztwo, wykazał mu jasno jak na dłoni, że dowody były równie bezpodstawne, jak wyrok niesprawiedliwy. Desroches, drżąc na całym ciele, zrywa się, drze na sobie togę i wyrzeka się na zawsze niebezpiecznej funkcji wyrokowania o życie ludzkim.

I oto, kogo nazywają wariatem! Człowieka, który zna samego siebie i lęka się pokalać suknię duchowną lub splamić ręce krwią niewinnego.

— Bo takich rzeczy się nie wie.

— Kiedy się nie wie, trzeba milczeć.

— Ale aby milczeć, trzeba być ostrożnym.

— A cóż szkodzi być ostrożnym?

— To, iż odmawia się wiary dwudziestu ludziom, których się szanuje, dla jednego, którego się zna.

— Och, drogi panie, nie żądam tyłu ręcycieli, kiedy chodzi o to, aby uwierzyć w dobro!

— Ale w zło!

— Dajmy temu pokój; odciągasz mnie od przedmiotu i drażnisz mnie. Trzeba było jednak czymś być. Desroches kupił dowództwo kompanii.

— To znaczy, wyrzekł się skazywania na śmierć bliźnich, aby ich zabijać zgoła bez procesu.

⁵nieodbicie (daw.) — koniecznie, bezwarunkowo. [przypis edytorski]

⁶rajca (daw.) — członek rady miejskiej, radny. [przypis edytorski]

⁷parlament — we Francji królewskiej: regionalny najwyższy sąd. [przypis edytorski]

- Nie rozumiem, jak można żartować z podobnych rzeczy.
- Cóż chcesz? Jesteś smutny, a ja wesoly.
- Aby ocenić wartość gadań ludzkich, trzeba by znać dalszy ciąg jego dziejów.
- Poznam go, jeśli zechcesz.
- To będzie długie.
- Tym lepiej.

Desroches odbywa kampanię w r. 1745 i spisuje się dzielnie. Uszedłszy niebezpieczeństw wojny, dwustu tysięcy strzałów z fuzji, łamie nogę, dosiadając narowistego konia, o kilkanaście mil od dworu, gdzie zamierzał odbyć leże zimowe. Trzeba było słyszeć, w jaki sposób nasze bawidamki obnosiły ten wypadek.

— Ha! Istnieją pewne osoby, z których świat przywykł się śmiać i dla których nie znajduje nic prócz śmiechu.

— Człowiek, który złamał nogę, to w istocie bardzo ucieszne! Więc dobrze, panowie śmieszki, śmieście się do syta, ale wiedźcie, iż lepiej byłoby dla Desroches'a, gdyby go rozniosła kula armatnia lub gdyby padł na polu bitwy pchnięty bagnietem. Wypadek ten zdarzył mu się w wioszczynie, gdzie poza plebanią lub zamkiem nie było możliwego schronienia. Przeniesiono go do zamku, który należał do pani de La Carliere, młodej wdowy, dziedziczki tych włości.

— Któż nie słyszał o pani de La Carliere? Któż nie słyszał o jej bezgranicznym poświęceniu dla starego zazdrosnego męża, któremu chciwość rodziny wydała ją w czternastym roku?

— W wieku, w którym przyjmuje się najpoważniejsze z zobowiązań, dlatego aby móc się różować i nosić ładne kolczyki, pani de La Carliere była w pożyciu z mężem najbardziej uważającą i uczciwą żoną.

— Wierzę, skoro tak powiadasz.

— Przyjęła i ugościła kawalera Desroches jak najdawniej. Interesy powoływały ją do miasta; mimo swoich spraw i mimo deszczów jesiennych, które wzdymając wody sąsiedniej Marny⁸, pozwalały jej wyjeżdżać z domu jedynie statkiem, przeciągała pobyt na wsi aż do zupełnego wyleczenia Desroches'a. Wyzdrowiał wreszcie; i oto, przywiązany wdzięcznością oraz bardziej słodkimi uczuciami do swej młodej, bogatej i pięknej gospodyni, jedzie wraz z nią w jednej kolasce⁹ do Paryża.

— Tak, to była niebiańska istota: ilekroć pojawiała się w teatrze, budziła powszechny zachwyty.

— I tam ją widziałeś?...

— Tak.

— W ciągu kilku lat ich zażyłości zakochany kawaler, który też nie był obojętny pani de La Carliere, ofiarował jej kilka razy małżeństwo; ale świeża pamięć utrapień pod jarzmem pierwszego małżonka, a bardziej jeszcze reputacja wietrznika¹⁰, jaką kawaler sobie wyrobił, przerażyły panią de La Carliere, która nie wierzyła w poprawę tego rodzaju ludzi. Pani de La Carliere toczyła wówczas proces ze spadkobiercami męża.

— Musiało też być sporo gadań z okazji tego procesu?

— Owszem, i to najróżniejszych. Możecie się domyślić, że Desroches, który zachował wielu przyjaciół w palestrze¹¹, krzątał się gorliwie koło sprawy pani de La Carliere.

— Która też była mu wdzięczna.

— Wystawał bez ustanku pod drzwiami sędziów.

— Zabawne jest, iż mimo że zupełnie wyleczony ze złamania, nie pokazywał się w sądzie inaczej jak w pantoflu. Utrzymywał, iż prośby jego, poparte pantoflem, działały bardziej wzruszająco. Prawda, iż wzuwał go raz na jedną, raz na drugą nogę, z czego nawet śmiano się po trochu.

— I aby go odróżnić od krewniaka tego samego nazwiska, wołano go Desroches-Pantofel. Wreszcie, dzięki słuszności sprawy i przy pomocy patetycznego pantofla, pani de La Carliere wygrała proces.

— I została panią Desroches, w obliczu Boga i ludzi.

⁸Marna — rzeka we Francji, prawy dopływ Sekwany. [przypis edytorski]

⁹kolasa — odkryty powóz konny bez resorów. [przypis edytorski]

¹⁰wietrznik (daw.) — człowiek niestały w uczuciach. [przypis edytorski]

¹¹palestra — ogół adwokatów; adwokatura. [przypis edytorski]

— Jak tobie pilno! Nie lubisz szczegółów; dobrze, daruję ci je. Porozumieli się zatem ostatecznie, chwila połączenia była bliska. Jednego dnia, po wielkim obiedzie, pośród licznego grona złożonego z obu rodzin i z garści przyjaciół, pani de La Carlière, przybierając dostojną postawę i uroczysty ton, zwróciła się do kawalera i rzekła: „Panie Desroches, posłuchaj. Dziś, jesteśmy oboje wolni, jutro już nie; mam się stać panią twego szczęścia lub nieszczęścia, jak i ty mego wzajem. Co do mnie, zastanowiłam się dobrze; racz i ty pomyśleć nad tym poważnie. Jeżeli czujesz w sobie pęd do miłostek, jaki władał tobą dotąd; jeżeli nie mam być jedynym celem twych pragnień, nie wiąż się; zaklinam cię na ciebie samego i na siebie. Pomyśl, że im mniej uważam się za stworzoną na kopciuszka, tym żywiej odczułabym zniewagę. Jestem ambitna, i to bardzo. Nie umiem nienawidzić, ale nikt bardziej nie umie gardzić, i to bez apelacji. Jutro u stóp ołtarza przysięgniesz należeć do mnie i tylko do mnie. Wejdź w siebie; zapytaj serca, póki czas; pomyśl, idzie tu o moje życie. Wierzaj, łatwo jest mnie zranić, a rana mej duszy nie zabliznia się nigdy, krwawi zawsze. Nie będę się skarżyła, ponieważ skarga zrazu nudzi, a w końcu pogarsza zło; litość jest uczuciem poniżającym dla tego, kto ją budzi. Zdławię w sobie boleść; przyplączę ją życiem. Kawalerze, powierzę ci mą osobę i mienie, poddam ci mą wolę i chęci; będziesz wszystkim dla mnie, ale trzeba, abym ja była wszystkim dla ciebie: nie ustąpię z tego ani na jotę. Jestem, jak sądzę, w tej chwili jedynym przedmiotem twych uczuć, ty jesteś nim z pewnością dla mnie, ale może się zdarzyć, iż ty spotkasz miłszą kobietę lub ja mężczyznę, który mi się wyda miłszy od ciebie. Gdyby wyższość przymiotów, rzeczywista lub urojona, usprawiedliwiała niestałość, nie byłoby w świecie uczciwości. Ja jestem uczciwa; chcę byś ty był taki również. Gotowa jestem do wszystkich poświęceń, aby cię nimi zdobyć bez zastrzeżeń. Oto moje prawa, moje dogmaty; nie ustąpię z nich nigdy. Uczynię wszystko, abyś w razie złamania wiary okazał się nie tylko niestały, ale abyś w oczach wszystkich zacnych ludzi, w oczach własnego sumienia był ostatnim niewdzięcznikiem. Przyjmuję ten sam zarzut, jeżeli twoim staraniami, twoim względem, twojej czułości nie odpowiem ponad twe nadzieje. Poznałam, do czego jestem zdolna przy boku męża, przy którym obowiązki żony nie były lekkie ani przyjemne. Wiesz obecnie, czego możesz po mnie oczekiwać; rozważ, czego możesz się lękać ze swej strony. Oświadc się, kawalerze, oświadc się jasno. Albo zostanę twą żoną, albo będę ci nadal przyjaciółką: wybór niezbyt okrutny. Mój przyjacielu, mój drogi przyjacielu, zaklinam cię, nie narażaj mnie na to, bym musiała nienawidzić, bym musiała unikać ojca moich dzieci i w szale rozpaczyny odtrącać może ich niewinne pieszczoty. Obym mogła przez całe życie, wciąż z nowym zapalem, odnajdywać w nich ciebie i radować się, iż zostałam ich matką. Daj mi największy dowód zaufania, jakiego kiedy uczciwa kobieta żądała od zacnego mężczyzny; nie przyjmuj mej ręki, jeśli sądzisz, iż stawiam zbyt wysoką cenę. Nie tylko nie obrażę się, ale oplotę ramiona dokoła twej szyi; zaprawdę, miłość tych, które kiedykolwiek podbiłeś, oraz słodkości, jakie im rozpowiadałeś, nie zjednały ci nigdy równie szczerego, serdecznego pocałunku, jak ten, który będziesz zawdzięczał własnej otwartości i mojej wdzięczności!”

— Zdaje mi się, że słyszałem swego czasu, bardzo zabawną parodię tej przemowy.

— Z ust jakiejś serdecznej przyjaciółki pani de La Carlière?

— Na honor, przypominam sobie; zgadłeś.

— I to nie miaoby wystarczyć, aby wypędzić człowieka het, w lasy, z dala od całej tej eleganckiej kanalii, dla której nie ma nic świętego? Tak zrobię; skończy się na tym. Ani chybi; tak zrobię. Zebranie, które zaczęto od uśmieszków, skończyło się wśród łez. Desroches rzucił się do nóg pani de La Carlière, obsypując ją zaklęciami. Nie ominął niczego, co by mogło obciążyć lub uniewinnić jego poprzednie prowadzenie się; porównał panią de La Carlière z kobietami, które znał i rzucił; wyciągnął z tego słusznego i pochlebnego zestawienia pobudki zdolne ją uspokoić, zdolne ubezpieczyć jego samego przeciw modnej płochości¹², przeciw wybrykom młodego wieku, płynącym raczej z powszechnego obyczaju niż z charakteru. Mówił w istocie z przekonania, z intencją poparcia słów czynem. Pani de La Carlière patrzyła nań, słuchała, starała się przeniknąć słowa, gesty i tłumaczyła wszystko na jego korzyść.

— Czemuż by nie, jeżeli mówił szczerze.

¹²*płochosc* (daw.) — lekkomyślność, nierozważność, brak stałości w uczuciach i postanowieniach. [przypis edytorski]

— Pozwoliła się ująć za rękę, którą on całował, przyciskał do serca, całował znowu, zraszał łzami. Wszyscy dokoła podzielali ich tkliwość; wszystkie kobiety czuły jak pani de La Carlière, mężczyźni jak kawaler.

— To właściwość szlachetnego wzruszenia, iż zdoła tchnąć w zbiorowisko ludzi jedną duszę i jedną myśl. Jak się kochają, jak cenią w takich chwilach! Jak piękna na przykład jest ludzkość w teatrze! Czemuż trzeba rozstawać się tak szybko! Ludzie są tak dobrzy i tak szczęśliwi, kiedy zacność zjednoczy ich uczucia, zleje je, zespoli w jedno!

— Cieszyliśmy się tym szczęściem, które i nas zbliżało wzajem, kiedy pani de La Carlière, ulegając popędowi szlachetnej duszy, wstała i rzekła: „Kawalerze, nie wierzę ci jeszcze, ale za chwilę uwierzę”.

— Milusia hrabinka doskonale przedrzeźniała ten patos pięknej krewniaczki.

— Łatwiej go jej przedrzeźnić niż odczuć. „Śluby wyrzeczone u stóp ołtarzy...” Śmiejesz się?

— Na honor, przepraszam; ale widzę jeszcze hrabinę, jak wspina się na palce, i słyszę jej napuszony ton.

— Ech, jesteś niegodziwy, zepsuty, jak cała ta gromada. Nie powiem nic więcej.

— Przyrzekam się już nie śmiać.

— Pamiętaj.

— A zatem, śluby wyrzeczone u stóp ołtarzy...

— ...tyle razy były wiarolomnie zdeptane, iż nie przywiązuję żadnej wagi do jutrzejszej uroczystej obietnicy. Obecność Boga mniej nam jest straszliwa niż sąd bliźnich. Panie Desroches, zbliż się pan. Oto moja ręka, podaj mi swoją i przysiąż wiekuistą wierność i miłość; weź na świadków wszystkich obecnych. Zgódź się, gdybyś mi dał słuszne powody do skargi, abym cię pozwała przed ten trybunał i wydała cię jego oburzeniu. Zgódź się, aby się zebrali na me wezwanie i aby cię nazwali zdrajcą, niewdzięcznym, przewrotnym, fałszywym, złym człowiekiem. Są to moi i twoi przyjaciele. Zgódź się, aby w chwili gdy ja cię stracę, i oni opuścili cię wszyscy. Wy, moi przyjaciele, przysiążcie, że się go wyrzekniecie.

Natychmiast salon zabrzmiał od zmieszanych okrzyków: „Przysięgam! Przysięgam! Godzę się! Przysięgamy!”. I wśród tego rozkosznego zgłębku kawaler, chwyciwszy w ramiona panią de La Carlière, całował ją w czoło, we włosy, policzki.

— Ależ, kawalerze!

— Ależ, pani, ceremonia spełniona; jestem mężem, ty żoną.

— W lasach, oczywiście; ale tutaj brakuje pewnej formalności. Na zadatek masz oto mój portret; uczyn z nim, co ci się podoba. Czy i ty nie zamówiłaś swojej miniatury? Jeśli masz, daj mi ją.

Desroches podał swoją miniaturę pani de La Carlière, która przypięła ją na ramieniu i pozwalała się nazywać przez resztę dnia panią Desroches.

— Pilno mi dowiedzieć się, co z tego wyniknie.

— Cierpliwości. Przyrzekłem być rozwlekły; trzeba dotrzymać słowa. Ale... prawda... to wszystko działo się w czasie twojej podróży, nie było cię w kraju.

Dwa lata, dwa pełne lata Desroches i jego żona tworzyli najbardziej szczęśliwe i zgodne stadło¹³. Sądzono, iż Desroches szczerze się poprawił; i tak było. Towarzysze jego swawoli, którzy słyszeli o owej sławnej scenie i żartowali z niej, powiadali, iż w istocie to ksiądz przynosi nieszczęście i że pani de La Carlière odkryła po upływie dwóch tysięcy lat sekret uniknięcia przekleństwa sakramentu. Pani de La Carlière, którą będę nazywał panią Desroches aż do chwili, w której wypadnie mi ją nazywać inaczej, powiła dziecko. Chciała bezwarunkowo je karmić. Był to długi i niebezpieczny okres dla młodego człowieka o temperamentem bujnym, mało podatnym do tego trybu życia. Gdy pani Desroches poświęcała się obowiązkowi, mąż udzielał się w świecie; otóż na swoje nieszczęście spotkał tam jedną z owych uroczych a przewrotnych kobiet, podrażnionych tajemnie tym, iż widzą gdzie indziej harmonię, której brak w ich domu, jedną z istot czyniących sobie zabawę i pociechę z tego, aby pograżać innych w niedoli, której same są pastwą.

— To ty tak przedstawiasz rzeczy, ale nie ona...

¹³stadło (daw.) — małżeństwo; para małżeńska. [przypis edytorski]

— Desroches, który znał siebie, który znał żonę, szanował ją, obawiał się jej...
— To prawie to samo...
— Pędził dni przy niej, w domu. Dziecko, ubóstwiane przezeń, przebywało niemal równie często w jego ramionach, co w objęciach matki, której, wraz z kilkoma przyjaciółmi, starał się za pomocą domowych zabaw umilić zacne, ale uciążliwe zadanie.

— To bardzo pięknie.
— Zapewne. Jeden z jego przyjaciół wplątał się w finansowe operacje rządu. Ministerstwo było mu winne znaczną sumę, która stanowiła prawie cały jego majątek; próżno domagał się zwrotu. Zwierzył się Desroches'owi. Ten przypomniał sobie, iż był niegdyś bardzo dobrze z kobietą, która dzięki wpływom i stosunkom mogłaby pomyślnie zakończyć tę sprawę. Zmilczał. Ale zaraz nazajutrz udał się, aby z nią pomówić. Ucieszyła się serdecznie spotkaniem oraz możliwością oddania usługi uroczemu człowiekowi, którego niegdyś tkliwie kochała, a którego poświęciła dla ambitnych widoków. Spotkali się jeszcze kilka razy. Była to osoba czarująca. Zawiniła wobec Desroches'a; sposób, w jaki kajała się za winy, był wcale niedwuznaczny. Desroches trwał jakiś czas w niepewności, co uczyni.

— Na honor, nie wiem czemu.
— Ale wół przez pociąg, bezczynność lub słabość, wół z obawy, aby błahy skrupuł...
— Co do rozrywki dość obojętnej dla jego żony...
— ...nie osłabił zapału protektorki w sprawie przyjaciela i nie udaremnił negocjacji, zapomniał na chwilę o pani Desroches i wplątał się w miłość. Wspólniczka jego miała nader ważne przyczyny, aby chować rzecz w tajemnicy, co pociągnęło za sobą konieczną i stałą korespondencję. Widywali się mało, ale pisywali dużo. Powtarzałem sto razy kochankom: Nie piszcie, listy was zgubią; wcześniej lub później przypadek skieruje który z nich pod niewłaściwym adresem. Przypadek kombinuje wszystkie możliwe wydarzenia; trzeba mu jedynie czasu, aby wylosować nieszczęśliwą liczbę.

— Nikt ci nigdy nie uwierzył?
— I wszyscy się tym zgubili, i Desroches, jak sto tysięcy przed nim i po nim. Chował listy w szkatułce opatrzonej blaszanymi okuciami. W mieście czy na wsi szkatułka była pod kluczem w sekretarzyku; w podróży — w walizie Desroches'a na przedzie kolasy. Tak było właśnie tym razem. Jadą, przybывая na miejsce. Wsiadając, Desroches oddaje służącemu szkatułkę z poleceniem zanieśienia jej do jego pokoju, dokąd droga prowadziła przez pokoje żony. W drodze obręcz pęka, szkatułka pada, wieko się otwiera, listy rozsypują się u stóp pani Desroches. Podnosi kilka i przekonuje się o zdradzie męża. Nigdy chwili tej nie mogła sobie przypomnieć bez dreszczu. Mówiła mi, iż ciało jej oblało się zimnym potem: miała uczucie, iż żelazne szpony ściskają jej serce i szarpią wnętrzności. Co się z nią stanie? Co uczyni? Skupiła się; przywołała resztkę sił i przytomności. Wybrała kilka najwymowniejszych listów, umocowała z powrotem denko i kazała służącemu zanieść szkatułkę do pokoju pana, zachowując, pod groźbą natychmiastowego wypędzenia, milczenie o tym, co się zdarzyło. Przyrzekła Desroches'owi, że nigdy nie usłyszy z jej ust skargi; dotrzymała słowa. Jednakże trawił ją głęboki smutek, płakała niekiedy; w domu czy na przechadzce życzyła sobie być sama, kazała podawać obiad u siebie; milczała nieustannie lub wzdychała mimo woli. Strapiony, ale spokojny Desroches przypisywał ten stan waporom¹⁴, mimo że kobiety karmiące nie podlegają tej chorobie. W bardzo krótkim czasie zdrowie żony podupadło tak, iż trzeba było opuścić wieś i wrócić do miasta. Pani Desroches wyprosiła sobie, iż odbędzie drogę w oddzielnym powozie. Za powrotem umiała postępować tak zręcznie i oględnie, iż Desroches, który nie zauważył braku paru listów, widział w tej odmianie żony, w jej obojętności, westchnieniach, wstrzymywanych łzach, w jej pociągu do samotności, jedynie zwyczajne objawy choroby. Niekiedy radził żonie, aby przerwała karmienie; ale był to właśnie jedyny sposób, za pomocą którego mogła, póki się jej spodoba, oddalić wyjaśnienia. Desroches żył tedy nadal obok niej, zupełnie spokojny o swoją tajemnicę, kiedy jednego ranka stanęła przed nim żona, wspaniała, szlachetna, godna, ubrana w tę samą szatę i strojna w te same klejnoty, jakie miała na owym słynnym zebraniu w wiliu¹⁵ ślubu. To, co straciła na świeżości i tuszy, to,

Kochanek, List, Upadek

List, Zdrada, Milczenie,
Żona

¹⁴wapory (daw.) — ataki hysterii, spazmy. [przypis edytorski]

¹⁵wilia (daw.) albo wigilia — dzień poprzedzający jakieś wydarzenie; w wiliu: w przeddzień. [przypis edytorski]

co tajemna zgryzota ujęła jej z wdzięków, wynagradzała z nawiązką szlachetność postawy. Kiedy żona weszła, Desroches pisał właśnie do kochanki. Zmieszali się oboje; ale ponieważ oboje jednak umieli panować nad sobą i oboje mieli przyczynę ukrywać zmieszanie, było ono tylko przelotne.

— Och, żono! — wykrzyknął Desroches, mnąc, jakby przez roztargnienie, papier. — Jakaś ty piękna! Jakie masz plany na dzisiaj?

— Zamiarem moim jest urządzać małe zebranie. Zaprosiłam krewnych, przyjaciół i liczę na ciebie.

— Oczywiście. O której godzinie mam się stawić?

— O której? Ależ... jak zwyczajnie.

— Widzę wachlarz i rękawiczki, czy wychodzisz?

— Jeśli pozwolisz.

— Można wiedzieć dokąd?

— Do matki.

— Proszę, bądź łaskawa wyrazić jej mój szacunek.

— Twój szacunek?

— Oczywiście.

Pani Desroches wróciła dopiero w chwili, gdy miano sięść do stołu. Goście przybyli. Czekano na panią domu. Skoro weszła, rozległ się ten sam okrzyk, jaki widok jej wydarł z ust męża. Wszyscy bez wyjątku otoczyli ją, powtarzając chórem: „Ależ patrzcie, jaka ona piękna!”. Kobiety poprawiały jej uczesanie, cokolwiek zburzone. Mężczyźni, trzymając się w pewnym oddaleniu, nieruchomi z podziwu, powtarzali: „Nie, Bóg ani natura nie uczynili, nie mogli uczynić nic bardziej wspaniałego, wielkiego, pięknego, szlachetnego, doskonałego”.

— Ależ, żono — mówił Desroches — wydajesz mi się jakaś obojętna na wrażenie, które czynisz. Przez litość, nie uśmiechaj się; uśmiech towarzyszący tyłu wdziękom przyprawilby nas o szaleństwo.

Pani Desroches odpowiedziała lekkim gestem oburzenia, odwróciła głowę i podniosła chustkę do oczu, które zaczynały wilgnąć. Kobiety, przywykłe zauważać wszystko, pytały po cichu: „Co jej jest? Lada chwila się rozplacze”. Desroches, który odgadywał ich słowa, przykładał rękę do czoła, dając znak, iż żona cokolwiek cierpi na głowę.

— W istocie, przesłano mi w dalekie strony krążącą pogłoskę, iż piękna pani Desroches, niegdyś piękna pani de La Carlière, uległa pomieszeniu zmysłów.

Dano do stołu. Wesołość zajaśniała na wszystkich twarzach z wyjątkiem pani de La Carlière. Desroches żartował z lekka z jej uroczystego wejrzenia.

— Nie dbam na tyle — mówił — o własny rozum ani o rozum przyjaciół, abym się miał lękać niebezpieczeństwa jej uśmiechu. Żonusiu, gdybyś raczyła się uśmiechnąć.

Pani de La Carlière udawała, że nie słyszy, i zachowała powagę. Kobiety oświadczyły, że z każdym wyrazem jest jej tak do twarzy, iż można jej zostawić wolny wybór. Obiad się skończył. Towarzystwo przeszło do salonu, siadając w krąg. Pani de La Carlière...

— Chcesz powiedzieć: pani Desroches?

— Nie; nie uważam za właściwe tak jej nazywać dłużej. Pani de La Carlière dzwoni; daje znak. Przynoszą jej dziecko, bierze je, drżąc cała. Odsłania pierś, daje mu possać i oddaje piastunce, popatrzwszy na nie smutno, ucałowawszy je i zwilżywszy łzę, która padła na lico dziecka. Ocierając łzę, rzekła: „To nie będzie ostatnia”. Ale wyrzekła te słowa tak cicho, iż ledwie je słyszano. Widok ten wzruszył obecnych, zapanowało głębokie milczenie. Wówczas pani de La Carlière podniosła się i zwracając się do całego zebrania, powiedziała, co następuje, lub coś podobnego:

— Moi krewniacy, moi przyjaciele, byliście wszyscy tutaj w dniu, w którym dałam słowo panu Desroches i on mi dał swoje. Przypominacie sobie z pewnością warunki, pod jakimi przyjąłm jego rękę. Panie Desroches, mów. Czy byłam wierna obietnicy?...

— Do ostatnich granic.

— A ty, Desroches, oszukałeś mnie, zdradziłeś...

— Ja, pani?!...

— Ty.

— Kto jest ów nieszczęsny, niegodziwy, który...

— Nieszczęsną jestem tutaj tylko ja, niegodziwym tylko pan...

— Żono...

— Nie jestem już nią...

— Pani!

— Proszę, nie dodawaj kłamstwa i zuchwalstwa do przewrotności. Im bardziej będziesz się bronił, tym większy wstyd cię czeka. Oszczędź samego siebie...

Domawiając tych słów, wyjęła listy, podała kilka mężowi, resztę zaś rozdała obecnym. Wzięli je, ale nikt nie czytał.

— Panowie, panie — rzekła pani de La Carlière — czytajcie i sądźcie nas. Nie wyjdziecie stąd, nim nie wydacie wyroku.

Następnie, zwracając się do Desroches'a:

— Co do pana, musi ci być znane to pismo.

Goście wahali się jeszcze, ale na ponowne prośby przeczytali. Tymczasem Desroches, drżący, nieruchomy, oparł głowę o szybę, odwrócony plecami do towarzystwa, na które nie śmiał spoglądać. Jeden z przyjaciół ulitował się nad nim, wziął go za rękę i wyprowadził z salonu.

— Donosząc o szczegółach tej sceny, powiadano mi, że Desroches był bardzo płaski, żona jego zaś uczciwie śmieszna.

— Nieobecność Desroches'a ośmieliła zebranych. Uznali jego błąd; przyznali słuszość pani de La Carlière, byle nie posuwała urazy zbyt daleko. Wszyscy skupili się koło niej; zaczęli ją naglić, błagać, zaklinać. Przyjaciel, który wyprowadził Desroches'a, wchodził i wychodził, donosząc mu, co się dzieje. Pani de La Carlière pozostała nieugięta w postanowieniu, którego nie objawiła jeszcze. Na wszystko, co jej przedkładano, powtarzała wyłącznie jedno. Kobietom mówiła: „Moje drogie, nie potępiam waszej pobłażliwości”. Mężczyznom: „Panowie, to niemożliwe: ufność przepadła, nie ma już rady”. Sprowadzono męża. Był w pól żywy. Raczej upadł, niż rzucił się do stóp żony; nie mógł rzec słowa. Pani de La Carlière rzekła:

— Proszę, wstań pan.

Podniósł się, ona zaś dodała:

— Jesteś pan złym mężem; przekonam się, czy jesteś przyzwoitym człowiekiem. Nie mogę już pana kochać ani szanować; to dość, abyś zrozumiał, że niepodobna żyć razem. Zostawiam panu swój majątek. Żądam jedynie części potrzebnej na skromne utrzymanie dla mnie i dziecka. Uprzedziłam matkę. Mam u niej przygotowane mieszkanie; pozwoli pan, że zajmę je natychmiast. Jedyna łaska, o którą proszę i do której mam prawo, to abyś mi oszczędził rozgłosu, który nie zmienilby mych zamiarów, a którego jedynym skutkiem byłoby przyspieszenie okrutnego wyroku, jaki na mnie wydałeś. Pozwól, abym zabrała dziecko i abym przy boku matki doczekała chwili, w której ona mi zamknie oczy albo też ja jej. Jeżeli ta sytuacja jest ci przykra, bądź pewien, iż boleść moja oraz podeszły wiek mej matki skrócą ją niebawem.

Tymczasem łzy płynęły ze wszystkich oczu; kobiety trzymały panią de La Carlière za rękę, mężczyźni rzucili się do jej stóp. Ale kiedy postąpiła ku drzwiom, trzymając dziecko w ramionach, rozległy się powszechne szlochania i krzyki. Mąż wołał:

— Żono! Żono! Wysłuchaj mnie; ty nie wiesz...

Mężczyźni krzykali, kobiety krzyczały: „Pani Desroches! Pani!”.

Mąż krzychał:

— Przyjaciele, czy pozwolicie jej odejść? Zatrzymajcie ją, zatrzymajcież przecie; niech mnie wysłucha, niech się z nią rozmówię.

Kiedy nalegano nań, aby się rzucił do jej stóp, mówił:

— Nie, nie mogę, nie śmiem. Ja — zbliżyć się do niej! Dotknąć jej! Nie jestem godzien.

Pani de La Carlière opuściła dom. Byłem u jej matki, kiedy tam przybyła, złamana wysiłkiem tych ciężkich chwil. Troje służby wydobyło ją z powozu i niosło bezwładną; piastunka, blada jak śmierć, dążyła za nią, z dzieckiem uspiętym na piersi. Złożono nieszczęśliwą na kanapie, gdzie długi czas zostawała bez ruchu, pod okiem starej, czci-godnej matki. Matka, niezdolna wydać głosu, krzątała się bezradnie, chciała nieść pomoc córce i nie mogła. Świadomość wróciła; pierwszym słowem przy otwarciu powiek było:

— Nie umarłam tedy! Jakaż to słodka rzecz umrzeć! Mamo, ulóż się obok mnie i umrzyjmy obie. Ale jeżeli umrzemy, kto będzie miał pieczę o to biedne maleństwo?

Ujęła chude i drżące ręce matki w jedną rękę, drugą położyła na dziecku; z oczu jej popłynął strumień łez. Szlochała, chciała się skarżyć; ale i szloch, i skargi przerywała gwałtowna czkawka. Skoro mogła wreszcie wyjąkać kilka słów, rzekła:

— Czyż to możliwe, aby on cierpiał tyle co ja?!

Tymczasem obecni starali się pocieszyć Desroches'a, tłumacząc, iż uraza o tak błahą przewinę nie może być trwała; ale że trzeba na chwilę ustąpić ambitnej i zranionej kobiecie, którą uroczystość owej niezwyklej ceremonii zmuszała prawie, przez punkt honoru, do gwałtownego kroku. „To po trosze nasza wina” — mówili mężczyźni. — „Tak, w istocie” — odpowiadały kobiety. „Gdybyśmy patrzyli na jej wzniosłe komedie tym okiem, co publiczność i hrabina, dzisiejsze oplakane wydarzenie nie byłoby możliwe... Tak już jest; rzeczy otoczone pewną pompą imponują nam i popychają do głupiego podziwu, gdy należałoby jedynie wzruszyć ramionami i śmiać się... Zobaczycie, zobaczycie, co jeszcze wyniknie z tej sceny i jak nas okrzyczą wszystkich”.

— Mówiąc między nami, rzecz nadawała się do tego.

— Od tego dnia pani de La Carlière wróciła do wdowiego nazwiska i nie pozwalała, aby ją zwano panią Desroches. Drzwi jej, długo zamknięte dla wszystkich, zostały na zawsze zamknięte dla męża. Pisał do niej, paliła listy, nie otwierając. Oświadczyła krewnym i przyjaciółom, iż zerwie stosunki z pierwszym, który się wstawi za Desroches'em. Księża próbowali się wmieszać, ale bez skutku. Co się tyczy wysoko położonych figur, odtrąciła ich pośrednictwo z taką stanowczością i dumą, iż rychło poniechały zabiegów.

— Powiedzieli z pewnością, że to wariatka, kobieta opętana cnotą.

— A publiczność powtórzyła to za nimi. Tymczasem pani de La Carlière tonęła w melancholii; zdrowie jej zaczęło podupadać z przerażającą szybkością. Tyle osób było wtajemniczonych w to niespodziane rozłączenie i jego pobudki, iż niebawem stało się ono przedmiotem ogólnych rozmów. W tym miejscu proszę cię, byś odwrócił oczy od pani de La Carlière, a skierował je na publiczność, na ową głupią ciżbę, która nas sądzi, rozporządza naszym honorem, wynosi nas pod chmury albo też włóczy w błocie, a którą szanujemy tym wyżej, im więcej sami mamy charakteru i cnoty. Niewolnicy opinii, możecie być przybranymi synami tyranów, ale nigdy nie ujrzycie czwartego dnia Idów!...¹⁶ Był tylko jeden głos co do pani de La Carlière: „To wariatka, którą należałoby zamknąć... Ładny przykład!... W takim razie trzy czwarte mężów musiałoby się rozejść z żonami... Trzy czwarte, powiadacie? Czyż istnieje dwóch na stu, którzy byliby ściśle wierni?... Pani de La Carlière jest uroczą, bezsprzecznie; dopełniła swoich warunków, zgoda; to wcielenie piękności, cnoty, honoru. Dodajcie, iż kawaler zawdzięczał jej wszystko. Ale też chcieć w całej Francji być jedyną wyłączną posiadaczką swego męża to zbyt śmieszna pretensja”. Mówiono jeszcze: „Jeśli Desroches taki jest w niej zacietrzewiony, czemu nie zwróci się do władz i nie przyprowadzi tej kobiety do porządku?”. Osądź, co by powiedzieli, gdyby Desroches lub jego przyjaciel mogli objaśnić sprawę; ale wszystko nakazywało im milczenie. Daremnie suszono głowę kawalerowi tą radą. Byłby się zdobył na wszystko, aby odzyskać żonę, wyjąwszy przemoc. Mimo to pani de La Carlière zażywała bezspornej czci; wśród głosów, które ją potępiały, podnoszono to lub owo na jej obronę; ale zawsze bardzo nieśmiało, słabo, oględnie, mniej z przekonania niż dla przyzwoitości.

— W najbardziej dwuznacznych okolicznościach sztandar przyzwoitości gromadzi wielu zbiegów.

— Słuszne spostrzeżenie.

— Niestety, które trwa długo, jedna w końcu wszystkie sympatie, utrata zaś wdzięku w pięknej kobiecie jedna jej przychylności kobiet.

¹⁶możecie być przybranymi synami tyranów, ale nigdy nie ujrzycie czwartego dnia Idów!... — Idy to w starożytnym kalendarzu rzymskim dzień przypadający w środku miesiąca (w 13 lub 15 dniu, zależnie od miesiąca roku), używany jako odniesienie przy rachubie czasu, gdyż Rzymianie nie stosowali ciągłej numeracji dni w miesiącu; Juliusz Cezar, sprawujący wówczas władzę dyktatorską, planował 18 marca roku 44 p.n.e. opuścić Rzym i wyruszyć na czele wyprawy wojennej na Wschód, jednak w dniu Idów marcowych (15 marca) został zaszytyłowany przez spiskowców uważających go za tyrana i dążących do przywrócenia republiki; 19 marca otwarto testament Cezara, w którym usynowił i ustanowił swoim spadkobiercą Gajusza Oktawiusza, późniejszego zwycięzcę wojen domowych i pierwszego cesarza rzymskiego, znanego jako Oktawian August. [przypis edytorski]

— Jeszcze lepiej. W istocie, skoro z pięknej pani de La Carlière został już tylko szkielet, współczucie zaczęło się mieszać do słów nagany. „Gasnąć tak w kwiecie wieku, pogrzebać się tak, i to przez zdradę człowieka, którego ostrzegła, który powinien ją być znać, który miał jeden jedyny sposób odwzięczenia się za wszystko, co uczyniła dla niego; mówiąc bowiem między nami, kiedy Desroches ją zaślubił, był to młody urwis, który miał tylko tyle, co na sobie... Biedna pani de La Carlière, to jednak bardzo smutne... Ale też, czemu nie pojedna się z nim... Ba, czemu? Bo każdy ma swój charakter; byłoby może pożądaną, aby takie charaktery zdarzały się częściej: nasi panowie i władcy zastanawialiby się może lepiej nad swymi postępkami”.

Gdy tak, robiąc siatkę lub haftując szalik, zabawiano się dyskusowaniem, przy czym szala chyliła się nieznacznie na stronę pani de La Carlière, Desroches popadł w rozpaczliwy stan, ale świat go nie widywał: zamknął się na wsi, aby w boleści i smutku czekać zmiłowania, o które pokornie, a bezskutecznie żebrał wszystkimi drogami. Pani de La Carlière, doprowadzona do ostatecznego stopnia wynędznienia i niemocy, zmuszona była oddać najemnej kobiecie pieczę o wykarmienie dziecka. To, czego się obawiała po zmianie pokarmu, stało się w istocie; dziecko wędło z dnia na dzień, w końcu umarło. Wówczas to zaczęły się głosy: „Wiesz? Ta biedna pani de La Carlière straciła dziecko”. — „Musi być niepokieszona...” — „Niepokieszona? Nie da się wręcz opisać tej zgryzoty. Widziałam ją; litość bierze! Serce się rozdziera doprawdy...” — „A Desroches?...” — „Nie mówcie mi o mężczyznach; to tygrysy. Gdyby ta kobieta była mu bodaj trochę droga, czy siedziałby na wsi? Czy nie byłby przyleciał? Czy nie oblegałby jej na ulicy, po kościołach, w domu? Człowiek, który bardzo chce, umie znaleźć drogę; nie rusza się z miejsca, kładzie się na ziemi, umiera...” Faktem jest, iż Desroches nie poniechał niczego, ale nie wiadano o tym; główna bowiem rzecz jest nie wiedzieć, ale gadać. Gadano tedy... „Dziecko umarło...” — „Kto wie, czy nie wyrosłoby na potwora jak ojciec?...” — „Matka umiera...” — „A mąż, co robi przez ten czas?...” — „Ładne pytanie! W dzień uganiania po lesie ze sforą psów, a w nocy barłoczy się z pluchami¹⁷ takimi jak on... Doskonale”.

Inny wypadek. Desroches, żeniąc się, uzyskał zwolnienie ze służby. Pani de La Carlière wymagała, aby rzucił wojsko i ustąpił swój pułk młodszemu bratu.

— Czyż Desroches miał brata?

— On nie, ale pani de La Carlière.

— No i?...

— No i młody człowiek zginął w pierwszej bitwie, i dalejże wszyscy wkoło: „Nieszczęście weszło do tego domu wraz z tym człowiekiem!”. Słuchając owych gadań, można by mniemać, iż strzał, od którego młody oficer poległ, padł z ręki Desroches’a. Zaczęła się nagonka, szła równie powszechny, jak niepojęty. W miarę jak niedole pani de La Carlière mnożyły się, charakter Desroches’a stawał się coraz czarniejszy, zdrada jego olbrzymiała; nie będąc ani mniej, ani więcej winny, stawał się z dnia na dzień bardziej znieawidzony. Sądzisz, że to wszystko? Nie, nie. Matka pani de La Carlière miała przeszło siedemdziesiąt lat. Pojmuję, iż śmierć wnuka i ustawiczny widok zbolalej córki wystarczały, aby skrócić jej dni; ale ostatecznie była zgrzybiała, niedołączna. Mniejsza; zapomniano o starości i chorobach: znowuż Desroches stał się odpowiedzialny za jej śmierć. Tym razem nazwano rzecz po imieniu: to nędznik, do którego pani de La Carlière nie może się zbliżyć, nie depcąc nogami wstydu; morderca jej matki, brata, syna.

— Ale wedle tej pięknej logiki, gdyby pani de La Carlière umarła, zwłaszcza po długiej i bolesnej chorobie, która by pozwoliła niesprawiedliwości i nienawiści publicznej rozwijać się stopniowo, świat winien by patrzeć na Desroches’a jako na ohydny mordercę całej rodziny.

— Tak też się stało i tak świat uczynił.

— Dobryś!

— Jeśli mi nie wierzysz, zwróć się do kogoś z obecnych: zobaczysz, co ci powiedzą w tej mierze. Jeżeli Desroches został sam w salonie, to dlatego, iż z chwilą kiedy się pojawił, każdy odwrócił się doń plecami.

— Ależ dlaczego? Można wiedzieć, że człowiek jest ladaco, co nie przeszkadza, że się go przyjmuje.

¹⁷plucha (daw.) — osoba niechlujna, nieporządna. [przypis edytorski]

— Sprawa jest dosyć świeża, a wszyscy ci ludzie to krewni albo przyjaciele nieboszczki. Pani de La Carlière umarła zeszłego roku w drugie święto Wielkiej Nocy, i wiesz gdzie? U św. Eustachego¹⁸, podczas mszy, wśród tłumu ludzi.

— Cóż za szaleństwo! Umiera się w swoim łóżku. Kto kiedy wpadł na koncept, aby umierać w kościele? Ta kobieta postanowiła być przesadna do końca.

— Tak, przesadna, słuszne określenie. Czula się nieco lepiej. Wypowiadała się poprzedniego dnia. Mniemała, iż jest dość silna, aby przystąpić do św. komunii w kościele, zamiast przyjmować ją w domu. Zaniesiono ją w lektyce. Wysłuchiwała mszy, nie skarżąc się i nie zdradzając cierpienia. Nadchodzi chwila. Służebne ujmują ją pod ramię i prowadzą do stołu Pańskiego¹⁹. Ksiądz podaje jej komunię, ona schyla się, jak gdyby po to, aby ją przyjąć, i umiera.

— Umiera.

— Tak, umiera przesadnie, jak to nazwałeś.

— Dopieroż musiało się zakotłować!...

— Nie mówmy o tym — można to sobie zresztą wyobrazić — i przejdźmy do dalszego ciągu.

— Z tą chwilą ta kobieta staje się sto razy godniejsza współczucia, a jej mąż bardziej ohydny.

— Rozumie się samo przez się.

— I to jeszcze nie wszystko?

— Nie; przypadek chciał, aby Desroches znalazł się na drodze, kiedy panią de La Carlière niesiono martwą z kościoła do domu.

— Wszystko spiknęło się na nieboraka.

— Zbliża się, poznaje żonę, wydaje krzyk. Pytają, kto jest ten człowiek. Z tłumu odzywa się niewczesny głos (był to głos proboszcza): „To morderca tej kobiety”. Desroches dodaje, łamiąc ręce, wydzierając sobie włosy: „Tak, tak, jestem nim, jestem”. Natychmiast tłum skupia się koło niego; obsypują go zniewagami, zbierają kamienie; gdyby paru zacnych ludzi nie ocaliło go od wściekłości motłochu, byłby został na miejscu.

— A jakie było jego postępowanie w chorobie żony?

— Bez zarzutu. Zwiedziony, jak my wszyscy, przez panią de La Carlière, która ukrywała swój bliski koniec, a może nie przeczuwała go sama...

— Rozumiem; stał się mimo to barbarzyńcą, okrutnikiem...

— Dziką bestią, która topiła pomału sztylet w piersi niebiańskiej kobiety, swej żony i dobrodziejki; człowiekiem, który pozwolił jej zginąć, nie pokazawszy się, nie dawszy znaku troskliwości i współczucia.

— I to za to, że nie wiedział tego, co mu ukrywano.

— I czego nie wiedzieli nawet ci, którzy z nią żyli najbliżej.

— I którzy mogli ją widywać co dzień.

— Właśnie; i oto czym jest sąd ogółu o naszych uczynkach; oto, jak drobny błąd...

— Och, bardzo drobny.

— ...nabiera wagi w ich oczach przez szereg wypadków, których niepodobna było przewidzieć ani im zapobiec.

— Nawet przez okoliczności zupełnie obce pierwotnemu źródłu, np. śmierć brata pani de La Carlière.

— Bo ludzie są, w dobru, jak i złu, na przemian śmiesznymi chwalcami albo niedorzecznymi krytykami. Wynik jest zawsze sprawdzianem pochwały i nagany. Mój przyjacielu, słuchaj ich sądów, o ile cię nie nudzą; ale nie wierz im i nie powtarzaj ich nigdy, jeśli nie chcesz stać się współnikiem ich niedorzeczności. O czym ty myślisz? Zadumałeś się.

— Odmieniam tezę, przypuszczając u pani de La Carlière postępowanie bardziej popularne. Znajduje listy; dąsa się. Po kilku dniach niehumor jej sprowadza wyjaśnienie, a poduszka pojednanie, jak zazwyczaj. Mimo usprawiedliwień, zakłęb i przysięg lekki charakter Desroches'a pociąga go do drugiego błędu. Nowe dąsy, wyjaśnienia, nowa zgoda, przysięgi, nowe wiarołomstwa, i tak kolejno trzydzieści lat, jak jest w zwyczaju. Tu

¹⁸u św. Eustachego — w wielkim, gotyckim, prestiżowym kościele St. Eustache w Paryżu, wzniesionym w XVI–XVII w. [przypis edytorski]

¹⁹stół Pański a. Stół Pański (rel.) — ołtarz w kościele, miejsce przyjmowania komunii. [przypis edytorski]

natomiast Desroches jest szlachetnym człowiekiem, który sili się naprawić, za pomocą mnogich starań, miłości bez granic, dość bląhą przewinę.

— Jak nie zawsze jest w zwyczajach.

— Bez rozłączenia tedy nie byłoby skandalu; żyliby razem, jak wszyscy; teściowa, matka, brat i dziecko mogliby umrzeć, a nikt nie pisnąłby słowa.

— Lub też mówiono by o tym jedynie, aby współczuć z nieszczęśliwym, prześladowanym przez los i nękanym dopustami.

— To prawda.

— Z czego wyciągam wnioski, iż niedaleki jesteś, aby temu szpetnemu bydłeciu, o stu tysiącach głupich głów i tyluż złych językach, użyć całej wzdargi, na jaką zasługuje. Ale prędzej czy później tak zwana publiczność wraca do rozsądku i sąd przyszłości naprawia obecne paplaniny.

— Przypuszczasz zatem, iż przyjdzie chwila, w której świat ujrzy rzeczy, jak są, obwini panią de La Carlière i rozgrzeszy Desroches'a?

— Nie sądzę nawet, aby ta chwila była odległa. Po pierwsze, nieobecni nie mają racji, nie ma zaś nieobecnego bardziej nieobecnego niż umarli; po wtóre, gada się, dysputuje; najbardziej zużyte wydarzenia wypływają w rozmowie i waży się je z większą bezstronnością. Będziemy może jeszcze dziesięć lat patrzeli na tego biednego Desroches'a, jak ty nań patrzałeś, wlokącego od domu do domu żalostną egzystencję; ludzie zbliżą się doń; zaczną pytać; wysłuchają go; nie będzie już miał przyczyny milczeć; wyjdzie na jaw tło jego przygody; zbrodnia jego zmieni się w wielkie nic.

— To znaczy w to, czym była naprawdę.

— Słowem, jesteśmy jeszcze obaj dosyć młodzi, aby słyszeć, jak piękna, wielka, cnotliwa, godna pani de La Carlière zmieni się w nieubłaganą i pyszną świętoszkę; ludzie bowiem podsycają się nawzajem: i jak nie mają busoli w sądach, tak nie mają miary w wyrażeniu.

— Ale gdybyś miał córkę na wydaniu, dałbyś ją Desroches'owi?

— Bez wahania, ponieważ jeno przypadek wtrącił go w przygodę, z której ani ty, ani ja, prawdopodobnie nikt nie zdołałby się ocalić; ponieważ przyjaźń, rycerskość, szlachetność, wszystkie możliwe okoliczności przygotowały jego winę i usprawiedliwienie; ponieważ postępowanie jego od chwili dobrowolnej rozłąki z żoną było bez zarzutu i ponieważ, nie pochwalając niewiernych mężów, nie cenię szczególnie wysoko kobiet przykładających tyle wagi do tego rzadkiego przymiotu. A wreszcie, mam swoje poglądy, może słuszne, z pewnością dziwaczne, co do pewnych uczynków, które uważam nie tyle za błędy ludzi, ile za następstwa naszego niedorzecznego prawodawstwa, źródła obyczajów równie niedorzecznych jak ono, i deprawacji, którą nazwałbym chętnie sztuczną. To nie jest zbyt jasne, ale wyjaśni się może innym razem²⁰. A teraz wracajmy do domu. Słyszę stąd zachrypłe krzyki naszych zawziętych karciarek, które cię wzywają; nie licząc, iż dzień zapada i noc nadchodzi, z owym licznym orszakiem gwiazd, które ci przyrzekłem.

— To prawda.

²⁰ *To nie jest zbyt jasne, ale wyjaśni się może innym razem* — patrz *Przyczynek do podróży Bougainville'a*. [przypis tłumacza]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/diderot-pani-de-la-carriere>

Tekst opracowany na podstawie: Denis Diderot, *To nie bajka*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wyd. M. Arct, Biblioteka Boy'a, Warszawa [1931]

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja wydana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.